№ 81 i 82

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 15 PAŹDZIERNIKA — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1837

ZŁA MYSL.

POWIEŚĆ NAŚLADOWANA

przez L. T. T.

(Dokończenie.)

«Edwardzie, bądź przynajmniej rzetelnym w twojej rozpaczy. Ja ciebie znam; gdyby jakiśkolwiek wzgląd złe twoje zamiary przeciwko sobie samemu zniweczyć powinien, jest nim niezawodnie pewność, żebyś i mnie na zawsze uczynił nieszczęśliwą. Wiesz dobrze, żem cię kochała i poraz ostatni mogę ci to dziś powiedzieć: kocham cię jeszcze. Postanowiłam oprzeć się groźbom mojej matki, ale na jej proźby nie mogłam być głuchą. Jest-to smutna losu kolej, że moje nieszczęście i ciebie nieszczęśliwym czyni; ale czyż cię potrzebuję zapewniać, że dla owego starca nie czuję miłości? Edwardzie! Twoje serce jest szlachetne, niebędziesz spokojności mojej na zawsze chciał poruszyć!....»

«Będę więc żył, jeżeli tego żądasz, jeżeli mi przysięgniesz, miłość ku mnie w sercu twojem na zawsze zachować.»

«Tego się nie spodziewaj. Raz zamężna, będę z poświęceniem wszystkich sił moich dopełniać moich obowiązków. Sumnienie powinnam zachować spokojne. Jutro będziemy na zawsze rozłączeni. Winnam ci wyznać prawdę.»

«Rozstrzygłaś więc nad losem moim. Niechaj śmierć zerwie twoje więzy w tej chwili!»

Edward wyciągnął pistolet z kieszeni i położył go na stole; jego wzrok miał w sobie wyraz tajemniczy i okropny; cierpienie rozlało na twarzy jego szczególną piękność, a cała postać była obrazem gwałtownej rozpaczy. Ludwika rzuciła się w objęcia kochanka i rzekła:

«A ja? czyś na mnie nie przyniósł broni? Nieopuścisz bezemnie tego świata; cierpienia zakończyłyby i tak wkrótce dni mego życia; ale lepiej razem umrzeć.»

«Nie myśl o tem Ludwiko; a twój majątek? twoja matka, która z powodu długów swoich w najsmutniejszem byłaby położeniu?

«Ach młodość moją mogłam jej poświęcić, ale ciebie wyrzec się nie mogę. Wolałabym pogrążyć w rozpaczy rodzinę moją, aniżeli ciebie widzieć umierającego. Zrzekam się małżeństwa z Sędzią nigdy nie przestałabym i tak kochać ciebie.»

Młodzieniec uczuł bijące serce Ludwiki na swojem sercu. Trzymał kochankę w objęciach, a rozmowa ta mogła była się stać niebezpieczną, gdyby jej nieprzewidziany przypadek nie przerwał. Czujne ucho Hrabiny usłyszało niezwykły ruch w pokoju Ludwiki.

«Otwórz, Ludwiko!» zawołała Hrabina, pukając do drwzi.

Edward uszedł przez okno.

«W sam czas nadchodzisz, kochana mamo,» powiedziała Ludwika. «On tu był; Edward tu był; on się chce zabić. Nie pójdę za Sędziego! Matko, nie możesz żądać śmierci tego młodzieńca. Ty wiesz, że ja go kocham, że ja go nie przeżyję!»

Hrabina przycięła wargi i wytrzymała pierwszy ogień namiętności, aby tem zręczniej zastosować środki zaradcze. Na stole leżał jeszcze pistolet. Wzięła go w rękę i włożywszy stępel w lufę, rzekła z uśmiechem.

«On się chciał zastrzelić? zastrzelić tym pistoletem?»

«Tak jest, moja mamo! Zaledwie nie stałam się przyczyną jego śmierci.»

Hrabina ściągnęła ramniona i rzekła surowym głosem:

«Moje dziecko; ten młodzieniec jest oszustem, a ty jego ofiarą. Pistolet wcale nie jest nabity. Umiał on korzystać z czułości niedoświadczonej panny. Biada jej, jeżeli nie słucha rad matki, która ją rozsądkiem od niebezpieczeństwa ocalić potrafi. Otrzyj twoje łzy; i ja byłam młodą, i ja widziałam przed sobą młodzików z pistoletem w ręku; zostałam nieubłaganą, a nikt sobie życia nie odebrał. Uspokój się, a gdyby igraszki swoje ponowić zamyślał, udaj się do mnie. Dobra noc kochane dziecię, jutro będziesz panią milijonowego majątku, wkrótce może szczęśliwą matką.» Hrabina oddaliła się, zabrawszy z sobą broń, którą troskliwie ukryła.

Następnego dnia odbył się ślub Ludwiki z Sędzią w kościele parafijalnym, a do domu nowo-żeńca zjechali się goście na cukrową kolacyję. Bawiono się wesoło, zabrano się do tańca, a młoda mężatka z trudnością powściągała łzy swoje. Wszyscy zdumiewali się nad jej pięknością; każdy podziwiał słodki i spokojny wyraz jej twarzy, kiedy tymczasem jej dręczone serce głośno do niej przemawiało: «Jesteś łupem starego człowieka; musisz żyć bez miłości, albo obciążyć zbrodnią twoje sumienie; wczoraj obawiałaś się rozpaczy twego kochanka, a teraz lękasz się tego, iżby nie zapomniał o tobie! Chwila śmierci twojej będzie pierwszą chwilą twojej wolności. — Chwila twojej śmierci? — Nie. Mąż twój cztery razy starszy od ciebie, on już jedną nogą stoi w grobie; ty prędzej wolność odzyskasz.»

Zła myśl, która dotąd nie miała wstępu do serca młodej dziewczyny, owładnęła ją przy progu sypialnej komnaty.

W trzy miesiące po ślubie Ludwiki, kazał mąż jej zburzyć stary zamek, ostatni pomnik świetności rodziny Hrabiów B. Daremnie Hrabina usiłowała nakłonić swego zięcia, aby prowincyję opuścił i z żoną wyjechał do stolicy. Niczego na nim nie zdołała wymódz, co się własnej jego woli sprzeciwiało.

Zbliżał się czas tyle dla rodziny Sędziego niebezpieczny. Jak gdyby natura była w zmowie z Hrabiną, już na kilka miesięcy przed domniemywanym przez lekarzy czasem, uczuł stary Sędzia pierwsze napady choroby, która braciom jego grób otworzyła. Gorączka żółciowa rozwinęła się z największą gwałtownością, a jedyny miejscowy lekarz nie robił nadziei powrotu do zdrowia. Starzec opadał coraz bardziej z sił, a po kilku-miesięcznem cierpieniu, lekarz tylko godziny życia jego liczył.

Hrabina ciesząc się blizkim i pewnym zgonem swego zięcia, wszystko przygotowała na przypadek jrgo zejścia. Pewnego dnia, kiedy chory zdawał się walczyć pomiędzy życiem i śmiercią i zupełnie już przytomność stracił, Hrabina wzięła klucze i kazała przywołać urzędnika sądowego. Sędzia przybył około dziewiątej godziny w wieczór, przejrzał szafy, otworzył do kantoru, którego skryte szuflady złotem były napełnione; Pisarz spisywał inwentarz pozostałości, kiedy na głośny brzęk złota głos grobowy odpowiedział:

«Kto tam? Co tam robicie? Czyście mię rabować przyśli?»

Żywy nieboszczyk podniósł się na łóżku, odsunął firanki i rozjątrzony wyciągnął chude ramiona.

«On jeszcze żyje,» rzekł urzędnik Sądowy.

«Oddal się WPan na chwilę,» odpowiedziała Hrabina. «Ja Go nie długo przywołam.»

Ludwika, która nie odstępowała łóżka chorego

wysłała natychmiast po lekarza; a nim ten jeszcze nadjechał, Sędzia już znacznie miał się lepiej. Z każdą chwilą upadała nadzieja Hrabiny; około północy doniesiono jej, że Sędzia zupełnie wrócił do przytomności.

Nie wiemy z pewnością, czy Sędzia domyślał się pośpiechu, z jakim Hrabina szukała jego szkatuły; ale z łatwością spostrzedz można było, jak pomimo swojej grzeczności tajemną do niej czuł odrazę. Być może, że wiek i choroba zniszczyły jego charakter; to jednakże nie podlega wątpliwości, że Hrabina dłużej w domu Sędziego bawić nie chciała, i pomimo usilnych prośb córki, postanowiła wyjechać do stolicy.

Od tej chwili jednostajność i nudy zaczęły gościć w domu Sędziego. Gospodarz odstręczał złym humorem dawnych swoich domowników, zaprzestano zjeżdżać się wieczorem na karty, wujaszek Antoni opuścił tę okolicę po ślubie Ludwiki, i tylko lekarz jeszcze odwiedzał smutne to mieszkanie. Ludwika wzdychała do zabaw, chcąc niemi uśpić tęsknotę swego serca, ale wszakżeż one ograniczały się na towarzystwie jej męża. Szukała więc zatrudnienia; zajęła się czytaniem i muzyką. Im bardziej praktyczne życie zdawało się jej próżne i nic nieznaczące, tem obfitszy pokarm nastręczała jej wyobraźnia, tem głębiej zapuszczała się w marzenia idealnego świata, które zaspokojały życzenia jej serca. Ale to ciągłe i wyłączne natężanie umysłu obrazami fantastycznemi najskodliwsze wywierało skutki na cały organizm Ludwiki. Natura mści się zwykle na tych, którzy jej opór stawiają nie troszcząc się bynajmniej o położenie wszczególności, niweczy zwykle ich siły w wieku namiętności. Kto nie korzysta z skarbów, jakie dlań w dziale przypadły, zwraca samochcąc wszystkie siły życia przeciwko sobie i nad własnem pracuje zniszczeniem. Zawiedzione nadzieje miłości, są to cierpienia serca, które tylko w samem ich zarodzie rozum pokonywa; biada temu, kto je pielęgnował; żyje on z niemi samotny na tym świecie, rosną one w swej sile i ukryte dla ludzi, podkopują jego zdrowie. Tak cierpiała Ludwika. — Każdy spostrzegał stęskniony wzrok, wybladłe lica, częstą nieprzytomność umysłu Ludwiki, ale nikt nie dociekł istotnej tego przyczyny, żadne rady nie zdołały przywrócić dawnej świeżości jej twarzy. Ona tylko, znając niebezpieczne swoje położenie i obawiając się zazdrości męża, choć nie powściągała swej wyobraźni, zaczęła częściej, aniżeli dotąd, przechadzać się po ogrodzie, gdzie się utworom swej wyobraźni swobodniej poddawała.

Edward, jej pierwsza miłość — jedynie ją zajmował. Przykre wrażenie ostatniego ich widzenia było już od dawna starte; fortel matki, którego użyła, aby Edwarda w złem świetle w oczach córki wystawić, chwilową tylko w sercu jej zrodzić mógł wątpliwość.

Edward istotnie nie odebrał sobie życia. Mógłże, powinienże był to uczynić? Ostatnia jego rozmowa z Ludwiką utwierdziła w nim przekonanie o stałej jej miłości; związek z Sędzią nie mógł być zerwanym, ale małżonek Ludwiki miał tylko jeszcze skąpo wydzielone dni życia. Tak myśl, że Ludwika odzyska wkrótce swą wolność, wstrzymała go od kroku rozpaczy, tak zła myśl matki, która zniweczyła szczęście dwóch kochanków, natchnęła nową nadzieją serce Edwarda. Młodzieniec ten szukał ulgi w samotnych przechadzkach około dawnego zamku i nieraz nawet zapuszczał się w głąb gęstego parku, z dawnego zamku Hrabiów B. do nowego mieszkania Sędziego prowadzącego. Tam długo błądząc po ciemnych ulicach wśród wieczornego chłodu, pewnego razu stanął jak wryty na miejscu: «Ludwiko!» zawołał. «Czy mnie mój wzrok zwodzi? — Powiedz, mów: czy-to ty jesteś, czy ja ciebie widzę?»

Ona niezdawała się wcale zmięszaną. Z uśmiechem zbliżyła się do niego i rzekła:

«Mój Edwardzie! kochanku mojej duszy. Niepoznajesz mnie? Jam ciebie tak długo wyglądała; chodź, siądź ze mną na tym trawniku, tylko chwilę możemy z sobą przepędzić, a już w tej chwili zawarte jest dla mnie niebo.»

«O Boże, Ludwiko, powiedz, co ci jest? ty cierpisz, podobnie jak ja, ty ulegniesz pod tym ciężarem!»

«Ty tylko znasz moje cierpienia, moje tajemni-

ce. Wybacz mi, żem na chwilę wątpić mogła o najczulszej twojej miłości. Matka moja okrutnie mnie podeszła. Ona moje szczęście swojej dumie poświęciła. Dziś jesteśmy już jej ofiarami Walczyłam, jak człowiek walczyć może, ale naprożno! Jestem żoną człowieka, którego nienawidzę, a tobie każda myśl moja poświęcona. Zdradziłam męża, obciążyłam moje sumienie, a jednakże nieba nie mogą miłości naszej złorzeczyć. My jesteśmy winni; niezwyciężona siła ciągnie mnie ku tobie, nic jej zwalczyć nie zdoła! Edwardzie! Ostatnie tchnienia życia mego będą błagać Boga, aby ci kiedyś wynadgrodził dni twego cierpienia Moje się kończą, już upadam pod ich ciężarem; ale raz jeszcze widzieć się będziemy; raz jeszcze— na progach wieczności—przysięgnę dochować ci miłości.»

Łzy i wysilenie przerwały jej słowa; z namiętnością uchwycił ją Edward w swoje objęcie, a usta ich złączyły się z sobą. Po chwili ocknęła się Ludwika, jak gdyby z snu długiego, spojrzała jeszcze raz na swego kochanka i znikła pomiędzy drzewami.

Długo stał jeszcze Edward na tem samem miejscu, bo wśród natłoku uczuć serca nie mógł zebrać swoich zmysłów. Widział Ludwikę, mówił z nią, odebrał od niej wyznanie gorącej miłości; jakaż niewymowna rozkosz spoczywała w tej myśli; ale mogłaż Ludwika należeć do niego? Taż sama chwila, która mu szczęście zwiastowała, przekonała go, że ona odnosi się do świata, w którym złość ludzka nie zamiesza swobody czułych kochanków.

Lekarze zwykle rzadziej się mylą w swoich spostrzeżeniach, kiedy śmierć przepowiadają, aniżeli zaręczając za życie chorego. Medyk, który był codziennym Sędziego gościem, choć się nie domyślał istotnych przyczyn choroby Ludwiki, czuł jednakże obowiązek przysposobienia Sędziego na blizki zgon jego żony. Ludwika od kilku tygodni złożona chorobą, która się w skutkach jej moralnego cierpienia rozwinęła, czuła to dobrze, że stoi przy kresie swego życia, i z tego powodu kazała męża do siebie przywołać.

»Smierć wkrótce nas rozłączy« rzekła do niego. «Chwile są dla mnie kosztowne; wysłuchaj zatem cierpliwie wyznania i prośby, jaką do ciebie zanoszę. Nim postanowiłam oddać ci moją rękę, kochał mnie pewien młodzieniec; nie taję tego, że serce moje na liczne dowody jego miłości nie było nieczułem. Uwierzysz mi zapewne, że się kłamstwem nie splamię, mając wkrótce stanąć przed Bogiem; życie moje było nienaganne. Smierć moja mogłaby młodziana tego przywieść do rozpaczy; ja tylko sama mogę temu zapobiedz. Nim opuszczę ten świat, raz jeszcze z nim mówić muszę. Nie wszystkie kobiety wyznałyby to, coś odemnie słyszał tak szczerze, zasłużyłam na twoje zaufanie, nie odmawiaj mi twojego zezwolenia. Nie zechcesz, abym opuściła świat ten z okropną myślą, że śmierć moja stała się przyczyną śmierci niewinnego młodzieńca. Ty go znasz: jest-to młody Edward. Ja go muszę widzieć; muszę się sam na sam z nim rozmówić.

Sędzia słuchał z uwagą mowy Ludwiki, czasem potakiwał głową. bawiąc się spokojnie złotą tabakierką, i rzekł po długiem namyśleniu:

«Moja kochana Ludwiko, nigdy się nie sprzeciwiałem twoim życzeniom, nawet— ile to w mojej możności było, uprzedzałem je, ale teraz staje ważny powód chęciom moim na przeszkodzie. Chciałbym zadośćuczynić twojej woli; szukam środków, ale ich nieznajduję. Jednem słowem, przyzwoitość byłaby obrażona, gdybym przystał na twoje żądanie!»

«Gdzie idzie o życie człowieka, w obliczu śmierci, która mnie czeka, względy przyzwoitości nie mogą mieć miejsca. Dla czegoż mi się teraz sprzeciwiasz? Ja tego młodzieńca chcę widzieć, chcę uspokoić jego namiętność, zobowiążę go przysięgą, aby sobie życia nie odbierał.»

Nareszcie Sędzia, któremu tylko szło o zachowanie względów przyzwoitości, zezwolił na naglące prośby konającej żony.

Edward przyszedł. W chwili jego przybycia przybrały wybladłe lica Ludwiki lekki rumieniec, nagle jej oko zajaśniało znowu młodocianym ogniem; była ona mocno wzruszoną, głos jej uroczysty, po-

ruszenie pełne wdzięku. Edward padł na kolana przed jej łóżkiem.

«Takież-to spotkanie« rzekł Edward; mocne łkanie przerywało jego wyrazy.

«Edwardzie — rzekła Ludwika błagalnym głosem, «szanuj ostatki sił moich, niewzruszaj mnie twojemi łzami. Umrę spokojna, jeżeli uczynisz zadość mojej prośbie. Jest to ostatnie życzenie, jakie z tej ziemi do wieczności przenoszę.«

Sędzia oddalił się w ówczas z pokoju. Długo trwała rozmowa obu kochanków, nakoniec drzwi się otworzyły, Edward ostatnie pożegnanie przesełając Ludwice, chwiejąc się, opuścił pokój z wzruszeniem tłumaczącem okropne jego uczucie.

W kilka dni później orszak pogrzebowy towarzyszył zwłokom Ludwiki na smętarz parafijalny, gdzie ciało jej złożono w grobie familijnym Hrabiów B. Edward pomnąc na przysięgę, którą go Ludwik związała, opuścił okolice, gdzie tyle cierpiał, a wszystko utracił, i w oddaleniu każdą myśl swoją poświęca pamięci swojej Ludwiki.— Sędzia po upypłwie roku wszedł w nowe związki małżeńskie.

DZIWNE PRZYGODY

RZYMSKIEGO GROBOWCA.

Powieść z wydarzenia przed kilkuset laty.

Podług dotychczasowego zwyczaju, głównem przedmiotami romansu i powieści byli ludzie.— Właściwym zaś bohaterem niniejszej powieści nie jest *człowiek*, ale ostatnie schronienie jego, to jest: *Grób*, i do tego, jak tytuł wskazuje, *Rzymski grób*, a to przepyszny, wspaniały, w pewnym rodzaju pomnik, jakby na cześć czyją wystawiony.—

Że zaś mam zamiar ogłosić tę pracę literacką na jakim innym płanecie, jeżeli tam już tak daleko w oświacie postąpiono, iż mają drukarnie, przeto dla uniknięcia nagany Arystarchów na Saturnie, Merkurym, Jowiszu i t. d., naprzód zapowiadam, że jedność miejsca w tej powieści jest jak najściślej zachowana, jedność zaś czynu i czasu nogami zdeptana; gdyż zbiegają się tutaj całe szeregi bezzwiązkowych wydarzeń, przez długi ciąg wieków a z wszystkiego to tylko wynika, że *groby* tak dobrze mogą podlegać losowi jak i ludzie.

Chociaż jednak bohaterem tej historyi jest mieszkanie umarłego, piszący jednak zaręcza, że żywiej postępować będzie jak w wielu innych powieściach, których bohaterami są żyjący ludzie.— A teraz do rzeczy!

Stał wysoko ułożony stos; na przykrytem purpurą paradnem łożu, zwłoki Septinijusa wstawiono na niego, przytem mnóstwo kosztownych wonnych rzeczy wschodnich. Publijusz, wyrodny syn czcigodnego nieboszczyka, wzniósł pochodnię; krewni, i niewolnicy domowi poszli za jego przykładem.— Od tyłu pochodni prędko zapalony, zajął się cały stos, raptem się w jeden płomień zamienił. Iskrzą co-czerwone niebo żarzyło się nad dumnym Rzymem, jakby baldachim nad tronem zwycięzcy świata Augusta. Nakoniec zgasły płomienie, ogień obumarł na ziemi, a czerwoność na niebie. Popiół z umarłego zebrano, w urnę włożono, a urnę tę odprowadzono z wszelką uroczystością na ulicę Apijską, i tam do wielkiego grobowca wstawiono.

Północ rozpościera swe czarne skrzydła nad ziemią i domem zmarłego. Głębokie milczenie zalega w około. Szalona zgraja, na czele której nieczuły syn, bogaty spadkobierca, podobna do ciągu duchów lub obłąkanych z pochodniami, zbliżała się do pomnika. Przybywają oni z najbliższej *Villi*, gdzie odbywali bankiet pogrzebowy. Upojeni winem i rozpustą, tańcują, wyją w około mieszkania śmierci, którego ciemne marmurowe ściany, pochodniowe światło odbijające, ognistą czerwonością, jak fale Phlegetonu, żarzyły się. Szaleńcy na dobitkę przerzucają pochodnie przez zewnętrzny mur do środka, i oddalają się z przeraźliwym śmiechem, śpiewając przytem sprosne i rozwięzłe wiersze.

Znikli.— Znieważona świątnica zmarłego stoi smętna w spokojnej ciemności nocnej. Słabe światło zbliża się: jest-to Julija, dobra córka szlachetnego Septinijusa. Niesie w drżącej ręce pochodnię, dwie niewolnice i uzbrojony stary niewolnik

pomagają żałobnicy do złożenia przy grobowcu hołdu dziecinnej miłości; skrapia ziemię winem i mlekiem; wieńczy urnę z popiołami gałązkami cyprysowemi, po których błyszczą się łzy miłości dziecinnej, dotąd, aż Aurora przystraja niebo w purpurę, a pobożna córka z westchnieniem grób opuszcza.

Minęło wiele lat, a mieszkanie śmiertelne stało nienaruszone w spokojnej cichości. Nareszcie banda rozbójników obrała je sobie, pod przewodnictwem odważnego dowódzcy, za potajemne mieszkanie. Spokojny przytułek został najzuchwalszym sposobem znieważony, gdyż płynęła tu krew nieszczęśliwych, zwykle w nocy zamordowanych.

Łupy z porabowanych były złożone w przysionku i wewnątrz budowli. Tak zbytkowali zbrodniarze, aż pewnej nocy, jakby na skinienie zagniewanego bóztwa śmierci, w czasie najszaleńszych zdrożności, którym się rozpustnicy oddawali, zawaliła się część wewnętrznej ściany marmurowej, jednego zabiła, a innych ciężko poraniła. Zdjęci trwogą i strachem, uciekły potwory, mniemając że je ściga kara pomsty.

Odtąd stał się grobowiec na długi czas przedmiotem świątobliwego poszanowania. Żadne odwiedziny nie przerywały spokojności w mieszkaniu umarłych, gdyż najbliżsi krewni poumierali. Nawet i stopa zabłąkanego podróżnika nie zabłądziła do przysionka, bo widok zwalonych ułamków muru nabawiał każdego obawą grożącego życiu jego niebezpieczeństwa.

Nareszcie północni cudzoziemcy opanowali Włochy. Jeden zastęp z dzikich hord okrutnego Księcia Hunów, Attili, napadł, w poblizkości pomnika, na szczątki rozproszone Legii Rzymskiej, które widząc liczbę przewyższającego ich nieprzyjaciela, rzuciły się w mieszkanie śmierci, jak do jakiej warowni, dla uratowania głównego orła, świętości legijonu. Cudzoziemcy przypuścili szturm. Rozpoczął się bój krwawy. Trupy zaległy wewnętrzną przestrzeń, tak jakby na uroczystą ofiarę umarłym pozabijane. Jednak Rzymianie plac utrzymali.

Hordy uciekły, a Rzymianie utraciwszy większą część swoich, zagrzebali orła legijonu pod urną zmarłego, i opuścili z boleśną radością piękne pole swej sławy i zabitych towarzyszy boju.

Wkrótce potem grobowiec stał się przytułkiem prześladowanej miłości. Julija, nieszczęśliwa córka Rzymianina, którego popioły tu spoczywały, kochała szlachetnego młodzieńca, ale nienawidzonego od jej niegodnego brata, gdyż on piękną swą siostrę jednemu z bezczelnych swych wspólników, bogatemu pustakowi, za żonę przeznaczył. Nadaremnie Julija i kochany Waleryjusz wszelkiego dokładali starania, aby dla siebie uzyskać zezwolenie złośliwego brata. Rozkazał przenieść swoją biedną siostrę do jednej Villi w blizkości grobowca, gdzie do dnia zaślubin z narzuconym jej oblubieńcem, jakby w więzieniu, pozostać miała, na kształt owieczki przeznaczonej na ofiarę, spełnić się mającą w czasie uroczystości wkrótce spodziewanej.

Rozkazał niewolnikom napaść w nocy na biednego Waleryjusza, związać go postronkami, a tak związanego wewnątrz budowy grobowca wtrącić, tam gdzie stała urna z popiołami ojca. Tutaj miał młodzieniec bez żadnej pomocy zmarnieć. Już trzeci dzień leżał tu Waleryjusz, nie mogąc żadnym członkiem ruszyć, umierający w mieszkaniu umarłego, dręczony najokropniejszemi męczarniami, dokuczającego głodu i pałającego pragnienia. Nadaremnie błagał bogów Olympu o wybawienie; nadaremnie bogów podziemnych o śmierć! Tak był cierpiącym Waleryjusz, w głębokiej ciszy ciasnego i dusznego grobowca, przy podnóżku urny, bez pożywienia, bez świeżego tchu życia, nie mogąc rozróżnić ani dnia ani nocy, cenił szczęśliwemi umarłych. Co mogło jeszcze powiększyć jego cierpienia, to była straszliwa myśl o Julii nieszczęściu, które mu się jeszcze większem zdawało, niż jego własne.

Tymczasem nadszedł wieczór poprzedzający ten okropny dzień, w którym nieszczęśliwa Julija miała być zaślubiona z nienawidzonym narzeczonym. Zawsze jeszcze spodziewała się, że Waleryjusz odkryje miejsce jej pobytu, i na jej uwolnienie pośpieszy. Oczekiwała od dnia do dnia, od godziny do godziny; ale pożądany nie przybywał. Rozpacz, zbliżająca się do obłąkania zmysłów, opanowała

cierpiącą. Widok jej męczarni wzruszył nakoniec przydaną jej do posługi niewolnicę, i zmiękczył tak dotąd twarde serce, hołdujące tylko lekkomyślności i miłości pieniędzy. Publiusz obiecał jej sowitą zapłatę; biedna Julija, ogołocona ze spadku przez brata, nie miała co do dnia. Ale teraz uczucie ludzkości obudziło się w niewolnicy Marcie. Dozorcą przeznaczonych do czuwania nad Juliją niewolników, był Marty kochanek.

Udało jej się usilnemi prożbami nakłonić tego surowego człowieka, że dozwolił Julii umknąć z Villi. Postanowiła swego Waleryjusza wyszukać, nie obawiając się żadnego niebezpieczeństwa, albo jego znaleźć lub umrzeć. Już w towarzystwie wiernej Marty wyszła w nocy. Pędzona bojaźnią, śpieszyła do będącego w blizkości grobowca ojca, który miał ściganym służyć za schronienie aż do rana. Myślała, że cienie nieboszczyka wskażą jej, jaką drogę będzie musiała obrać, jak począć, aby dojść do celu.

Skoro się znajdowały blizko grobowca, zapaliła Marta przyniesioną z sobą pochodnię o węgle niesione w naczyniu, ciągle poruszanem, aby nie wygasły. Tak wstąpiły z obawą i drżące do spustoszonego mieszkania śmierci. Julija padła na kolana, otoczyła swe ręce koło urny, i modliła się najgorącej o pomoc i ratunek. Serce tylko mówiło, a nie usta.

Ponura cichość panowała w około. Niespodzianie zajęczały ciche przytłumione łkania, które zdawały przeciskać się zpod ziemi.

Marta krzyknęła z przestrachu i chciała uciekać; Julija jednak, pomimo że zbladła i cała przerażona, stanęła cicho bez poruszenia. Nakoniec przemówiła pewnym głosem, jakby z natchnienia: «Duchu ojca mego! Tyś mnie wysłuchał; z Elizejskich Pól dochodzi mnie twój głos; będziesz mnie bronił, będziesz mnie ratował!»

Zaledwie te słowa wymówiła, kiedy głos, w którym połączone było narzekanie i zachwycenie, wymówił imię »Julija.»

Julija zerwała się, wydarła drżącej niewolnicy pochodnię, i poszła, trzymając przed sobą światło, w koło urny. Noga jej trąciła o coś; wlepiła oczy w dół i w tył odskoczyła. »Trup!« krzyknęła Marta. W tej chwili, całe światło pochodni uderzyło na lica leżącego, a Julija poznała ukochanego. — Z wielką trudnością udało się jej i niewolnicy, więzy prawie już obumarłego zdjąć.

Osłabienie i zachwycenie zagrażały mu prędką śmiercią; omdlenie pozbawiło go mowy i przytomności, a Julija rozpaczała, że w chwili wynalezienia kochanka, musi go utracić. Bez poruszenia, podobny do umarłego, leżał Waleryjusz na ziemi. Julija bez przytomności oparta była na urnie; dopiero po długiej chwili obudziła się z tego odurzenia, tymczasem Waleryjusz nie dawał żadnych oznaków życia. Z nadzwyczajnem natężeniem udało się przecie słabym siłom kobiecym, bezprzytomnego, z dusznego budynku pomnika, do przedsionku wyciągnąć. Wpływ świeżego powietrza tak silnie działał, że się oddech pokazał mocniejszy. Julija użyła przeznaczonego na ofiarę umarłemu mleka, i potarła niem czoło i skronie kochanka. Otworzył kilka razy oczy; Julija potrafiła wlać mu kilka kropel mleka do ust, które go pokrzepiły. Wkrótce mógł się Waleryjusz podnieść; nakoniec tyle przyszedł do siebie, iż mógł słuchać przypadków Julii i swoje opowiadać. Następujący dzień musieli kochankowie jeszcze z umarłymi przepędzić. Mleko, miód, przyniesione na ofiarę, i trochę fruktów uzbieranych przez Martę z drzew w blizkości pomnika wysadzonych, były ich skąpem pożywieniem.

Gdy drugi dzień zajaśniał, opuścili grobowiec. Z dalszych ich wypadków to tylko wiadome, że w kilka tygodni później odwiedzili znowu to mieszkanie zmarłego, ale już jako małżonkowie, i że szczęśliwi przez długi przeciąg lat, w dzień, w którym się kiedyś tutaj znaleźli, urnę ojca gorącemi łzami serdecznej radości skrapiali, a małe ich dzieci zaściełały tymczasem ziemię kwiatami.

Dawno już urna przyjęła w siebie także popioły szczęśliwych małżonków, ich wnuków i prawnuków. Państwo Rzymskie od wschodu do zachodu upadło, a z popiołów jego powstały nowe Włochy. Inne pokolenia i inne drogi się zjawiły. Z takiego całkowitego przeistoczenia wynikło, że grobowiec

znalazł się tuż przy samym wielkim trakcie. Jeden przemyślny Włoch korzystał ze starego pomnika, i zamienił go na gospodę. W murach wyrąbano otwory na okna, a przytułek umarłych został urządzony na mieszkanie braci cechowych. Urnę z popiołami Septinijusa, przystrojoną w bluszcz i winne grona, ustawiono na przodzie płaskiego dachu. Wrzawa opiłych huczała teraz tam, gdzie niegdyś najgłębsza panowała cichość. Gospodny Buffoni zapomniał wkrótce, że jest gospodarzem, a nie gościem. Pobratał się z przychodzącymi, grał i biesiadował cały dzień, dopóki pijany nie poszedł do łóżka, a staranie o gospodarstwie zwalił na głowę żony, która po kilku latach, nie zyskawszy nic w w nagrodę, tylko złe obchodzenie się z nią, nakoniec powitała śmierć jako oswobodzicielkę z tylu cierpień. Teraz niczem niepohamowany Buffoni, uważał każden środek za godziwy, aby sobie dopomódz. W tych czasach odwiedzało osławioną gospodę dwóch zakapturzonych bandytów. Znaleźli w niegodziwym gospodarzu człowieka według swego życzenia. Przystał z radością na zrobienie ze swej gospody składu ich zdobyczy, za przypuszczenie go do jakiejś części zarobku. Niegodziwe to rzemiosło przyniosło im znaczny zysk, byli jednak wydani zwierzchności przez schwytanego bandytę, chcącego tym sposobem uwolnić się od śmierci. Żołnierze otoczyli w nocy gospodę; bandyci zatarasowali drzwi i bramę, strzelali z okien i bronili się z odwagą rozpaczy. Po zaciętym dopiero boju, byli zwyciężeni. Domostwo zostało rozwalone, a zbrodniarze uczuli rękę karzącej sprawiedliwości. Zabitych tak żołnierzy jak i bandytów tutaj pochowano, a zrzuconą z dachu urnę z popiołami Septinijusa, postawiono na wierzchu wspólnego grobowego pagórka.

Po upłynieniu wielu lat, szczątki starego grobowca znowu przekształcono na mieszkanie żyjących. Biedna rodzina winobrańców je zajęła, a przykładnem swojem pożyciem zrobiła z niego świątynię niewinności, do upięknienia której sama natura wszelkich sił dołożyła. Całe zwaliska są obsadzone wonnącemi kwiatami. Od wschodu przy średniej części, pną się rozkoszne winnice, a z pozostałej bez uszkodzenia rotundy, wytryska srebrzyste źródło. W głębi wznosi się góra *Albanus*. Ostatki tego, tylu zmianom uległego pomnika, noszą nazwisko *Casa rotunda*; jednak piękna ta okolica jest teraz smętną, przez żadną istotą ludzką nie zamieszkałą, bo ach!

Gdy już wymarła zacna rodzina,
Pustkami stało mieszkanie trupów;
Wreszcie wybiła i ta godzina,
W której czas, chciwy odwiecznie łupów,
Niszcząc, nie szczędzi martwe ozdoby,
Zwala w grób ludzi— w perzynę groby.

F. W.

Muzyka angielska.

Mery, opisując festyn wstrzemięźliwości w Liwerpolu, w *Revue de Paris*, robi uwagę następującą:

„Jestem na zabój rozkochany w muzyce angielskiej. Każdy tam muzyk gra z taką niepodległością, iż mi to nadzwyczajną radość sprawia; każdy pracuje tylko dla siebie, nie troszcząc się bynajmniej o swojego sąsiada. Orkiestra angielska składa się z mnóstwa członków *solo* grających, którzy nie mają tej jednostajnej zgody i całości, jaką zwykle u nas w operze i u Włochów podziwiamy. Zaiste, artysta angielski nie zrzekł się swoich praw obywatelskich; wziąwszy do ręki klarynet lub waltornię, wolno mu grać podług jego fantazyi i wyłamać się z pod opieki Dyrektora orkiestry; Orkiestra angielska jest jako reprezentacyjna Izba harmonii, w której każden członek zachowuje swoje prawa i przywileje, i głos swój według upodobania w urnę nót rzuca. Prawdziwie, ta symfoniczna wolność sprawia nie raz drażliwą muzykę dla słuchaczy; ale i słuchacze mają także prawo wolności dla siebie, to jest: wolno im nie słuchać.„

(*Roz. Lwow.*)